

365

OTO DEBIUT dramatopisar-
ski Mrożka. Rok 1958, do
„Dialogu” listonosz przynosi kopertę ze sztuką i listem, nieśmiałym, skłopotanym, niepewnym. Nic dziwnego: właśnie tekst został zwrócony przez jednego z dyrektorów teatru krakowskiego, z opinią, że jako propozycja teatralna jest „to” zupełnie niepowalne, a jako sztuka w gruncie rzeczy bezwartościowe. Może jednak wydrukujecie, mimo wszystko — pisał Mrozek — „napisałem tę sztukę, bo chciałem nareszcie zostać dramatopisarzem”. Była to „Policja”, ukazała się w zeszycie czerwcowym. Kłopoty były, ale potem; najpierw teatr zmienił na wszelki — jaki, do dziś nie wiadomo — wypadek tytuł z „Policji” na „Policjantów”, a później się okazało, że chciano to grać tak bardzo śmiesznie, że zrobiło się trochę smutno.”

Tyle Jerzy Koenig po 15 latach od ukazania się sztuki.

A zaraz po ukazaniu się „Policji” Jaszcz tak ją podsumował:

„Długie dialogi i półmonologi siabliutko służą wątej akcji”.

Zaś August Grodzicki delikatniej podsunął, że:

„... dowcipy w „Policjantach” (na wszelki wypadek już zmieniony tytuł!) są spletrzone, mocno zgeschczone, wkupek czego tekst, który w czytaniu jest przezabawny, na scenie chwilami wydaje się przeciągnięty i statyczny”.

Można by się tak bawić w cytaty stare i nowe, bo o Mrożku napisano tak wiele w ciągu kilkunastu lat, jak o żadnym polskim dramaturgu. In-

trygował stale: tygrysem w łazience, gigantyczną ręką, kwadratowym jajem. Jak słynni chłopcy z „Indyka” chciał zasłać bunt przeciw niemożności, przeciw stereotypom. Opetany stereotypami, w walce z nimi wytwarza stereotypy wsłaz nowe. Samoszyderstwa, parodił, groteski.

W-13 lat po „Policji” napisze w komentarzu do „Rzeźni”:

„... dziesięć lat temu rozbudowałem metaforę do maksimum możliwości, wyciągnąłem z niej maksymalną ilość sytuacji kontrastowych... Przyprawiłem maksymalnie groteską i komizmem. Rzecz w tym, że obecnie, kiedy mi ktoś mówił o metaforze, ja nie rozumiem, po co, i pytam: „Dobrze, ale dlaczego pan nie powie mi po prostu, o co panu chodzi”. A groteska mnie nudzi i smuci”.

Przestrzegaj teatru w didaskaliach do „Policji”, że sztuka ta nie zawiera niczego poza tym, co zawiera, to znaczy nie jest żadną aluzją do niczego, nie jest też żadną metaforą i nie trzeba jej odczytywać.

Miał stuprocentową rację, którą najbardziej stwierdził czas.

Grać powinien nagli tekst — pisał — nie robić niczego, co by odbiegało od przedstawienia maksymalnie przejrzystego, nieco surowego i statycznego, czystego i „ścichapek”.

Pewien znakomity krytyk napisał, że można w „Policji” wyolbrzymić groteskę.

Oczywiście, że można, w ogóle wszystko można w teatrze, pod warunkiem, że wie się, po co. Zatem po co wy-

olbrzymić groteskę w przypadku „Policji”? By stworzyć karykaturę groteski?

Zgadzam się, że sztuka w czytaniu jest przepyszna. Ze tylko w czytaniu uważnym wychodzą owe cudowne par-nonsensy, typu „czasem wydaje nam się, że myślimy, że nie myślimy, ale myślimy — podczas gdy naprawdę, to

luzyjnie. Dziś nie sposób podjąć ten tok rozumowania, jakkolwiek nazwane po imieniu przywary ludzkie bynajmniej nie zagięły. Ale gdyby nawet autor pomieścił wbrew zastrzeżeniu w „Policji” jakieś aluzje — dziś śmieszą li tylko. Śmiechem komediowym.

Nie wiem, czy cieszyłby się z tego Mrozek, który zapewniał, że nie jest to

Po premierze

WOKÓŁ PEWNEGO DEBIUTU

nia myślimy”. Tekst na scenie nie gra nigdy sami. Tekst na scenie — to konkretny aktor, którym mówi. To intonacja. Aluzja. Dykcja. Podtekst. Interpretacja.

Bał się tego Mrozek w „Policji”. I słusznie się bał. Bowiem doskonale wiedział, że nie tworzy typów scenicznych — tylko stereotypy, ideogramy, symbole. Nie ma u niego uczuć, są znaczenia, za którymi stoi piekielna logika autora biczącego masowość i przekulturzenie (jak sam nazywa ten bałwochwalczy proces wiary w nadrzędność kultury, dodając swoje przekorne, że istnieje jeszcze brzuch i co z nim robić?).

Odczytywaliśmy kiedyś „Policję” a-

komedia. Zresztą i tak pozostała ta sztuka dla mnie sztandarowym teatrem polskiego absurdu.

Teatrem, który wprowadza nas w świat nonsensu i bzdury, walczy z nonsensem i bzdurą. Groźną bzdurą. Rozpanoszoną.

Przedstawienie „Policji” w Teatrze im. W. Siemaszkowej, które reżyserowała Olga Koszutska, jest komedią. Z ledwie zaznaczonymi akcentami, ale niebezpiecznymi, ku wyolbrzymionej grotesce. Jest równocześnie trochę zabawą wokół tekstu. „Policja” kusi w tę stronę teatr — wszędzie jednak tam, gdzie udaje się uniknąć owego wyolbrzymienia, gdzie przedstawienie jest właśnie statyczne, czyste, polegające

na dyskusji ad absurdum — jest najbliższe autorowi.

Pisał Mrozek, by nie robić żadnych figlików ze scenografią. Irena Burke znakomicie odczytała ten zakaz Mrożkowi w oślepiającej bieli ścian, w sterylności tego więziennego wnętrza. Ale nie mogła do końca opanować się i zrobiła figlik w mundurach: Generał, którego grał Jerzy Mędrkiewicz jako dobrodusznego ramola, jest nie tylko „odpowiednio upióropuszczony”... Upióropuszenie kusilo, kusilo...

Są pyszne sceny w „Policji” — groźne sceny rodem z teatru absurdu — wszędzie tam, gdzie dwójka aktorów Hilary Kluczkowski jako Naczelnik policji i Bolesław Werowski jako Sierżant wiodą swoje dysputy, nie dbając o efekty teatralne. Kiedy ich samych na tyle wciąga tekst i na tyle go smakują, że zawierzają autorowi, podając go pozornie beznamietnie i poddając się jego nonsensownej argumentacji. Odnosiłam wrażenie, że tak mogłaby wyglądać wieża Babel; każdy o tym wamym, ale innym językiem — w sumie totalne niezrozumienie. Albo lepiej nie-możliwość wzajemnego zrozumienia.

Bawiłam się na „Policji” i trochę, co tu ukrywać, nudziłam. Bawiłam się, śledząc alogiczne meandry argumentacji. Śledząc aktorów, których one rozgrzewały i musieli tłumić własne namietności w imię inteligencji interpretacji. Za to jestem im szczerze wdzięczna zresztą. Nudziłam się, gdy spletrzenie nonsensów wykonawcy gubili w nadmiernej groteskowości. Gdy spektakl nasbyt jawnie skręcał w stronę

śmieszności za wszelką cenę. Gdy świetnie podająca tekst Elwira Turska jako Zona Sierżanta Prowokatora nagle zaczynała farsowo dreptać po scenie, gdy grający ideę mechanicznie „nawróconego” spiskowca Jerzy Rudolf przeskoczył od zimnego spokoju do parodystycznej farsy w mundurze Adiutanta — a więc wtedy, gdy teatr zaczynał interpretować serio absurdalność sytuacji, którą wcześniej wymyślił autor.

Byłabym niesprawiedliwa dla spektaklu, gdybym nie wyznała, że nudziły mnie też pewne partie samego tekstu, które w okresie zniechęcenia teatrem absurdu i metafory jako przeżywania — wydały mi się nieco staroświeckie i wyświechtane. Autor tu zresztą wyszedł mi naprzeciw swoim wyznaniem, że i jego nudzi już groteska z metaforą. Ze woli mówienie wprost. Ale to wyznanie odnosi się już do innej sztuki. Zresztą sam powiedział, że w „Policji” nie ma niczego poza tym, co zawiera, to znaczy nie jest żadną aluzją i nie trzeba jej odczytywać. Nam zaś ciągle się zdaje, że myślimy, że nie myślimy, ale myślimy, etc... etc...

KRYSTYNA SWIERCZEWSKA

Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie: Sławomir Mrozek — „Policja”. Reż. — Olga Koszutska. Asyst. reż. — Bolesław Werowski. Scenograf — Irena Burke. Osoby: Naczelnik Policji — Hilary Kluczkowski, Wściek — Jerzy Rudolf, Sierżant Policji — Bolesław Werowski i Zbigniew Zaremba, Zona Sierżanta Prowokatora — Elwira Turska, Generał — Jerzy Mędrkiewicz. Premiera — wrzesień 1975 r.



Na zdjęciu: Hilary Kluczkowski jako Naczelnik Policji i Więzień — Jerzy Rudolf.

Fot. Z. POSTĘPSKI